

WŁADYSŁAW MALINOWSKI

Władysław Malinowski

Gryfin k. Szczecina

ul. Grunwaldzka 5

nauczyciel gimnazjum

4 maja 1946 r.

Praca konkursowa dla Ministerstwa Oświaty

Temat: Moje przeżycia i przemiany duchowe w okresie 1939–1945

Najważniejszym wydarzeniem w moim życiu było wydanie przez Księgarnię F. Hoesicka w Warszawie mojej książki pt. *Strzały niewolnika*. Widziałem egzemplarze *Strzałów* przez szybę wystawową. Leżały gustownie ułożone i śmiały się do mnie. Nikt z przechodzących nie wiedział o tym, że jestem autorem. Było mi to obojętne. Wzrok ślizgał się po okładce i śledził prawidłowość karykatury.

Jacyś dwaj studenci zatrzymali się tuż przy mnie. „Nowa książka” – oświadczył jeden z nich. „Na pewno o bezrobociu” – podkreślił drugi. „Czy nie mam innych tematów?” – odpowiedziałem. – „Czyż duch ludzki zatrzymał się obok trawień, co?”. „Patrzcie, jaki strzelec” – wołały rozbawione licealistki, oglądając karykaturę. „Ale co za obrzydliwy pies gryzący człowieka? A może to kryzys?”. Ot, pies i nic więcej! Stałem jak na węglach. Mówiono z pewnym lekceważeniem o tym, co było mi takie drogie, co było treścią mego życia i nadziei. „Wyprzedałem się za niską cenę” – pomyślałem. Każdy z nich był gotowy do dyskusji, nie znając wystawionej książki. Życ nie chciałem już dawno, będąc z sobą w wiecznej rozterce i niezgodzie.

Za parę dni ukazała się recenzja podkreślająca sfinksowaty charakter *Strzałów*, lecz któż ją czytał. Umysły wszystkich były zajęte czym innym – nadchodzącą wojną. Nikt nie oponował, bo nic by to nie pomogło. Sunął nieprzerwany, bierny tłum ludzki. Powtarzałem cicho wśród nich zdania wyjęte ze *Strzałów*: „Zarozumiały tylko czuje się silnym...”, „podstępna przemiana materii...”, „wieleż zmarnowanej pracy”.

Na słupach ogłoszeniowych, na kioskach widniały napisy o wyjeździe Ribbentropa, o zerwaniu rokowań... o mobilizacji... Uliczne megafony rozgłaszały ostatnie wiadomości

o silnej podstawie narodu... o przyszłym zwycięstwie. Psuło się w świecie to, co miało w przyszłości przywalić sobą wiele milionów ludzi.

Idąc dalej z ulicznym potokiem, odczuwałem jeszcze bardziej swoją nicość. To, że chciało mi się wśród tej masy krzyczeć głosem szaleńca, nie było brane pod uwagę, bo to przecież tylko naleciałość uczuciowa. Nikt pochlebnie o wojnie się nie wyrażał, a jednak ona zbliżała się do nas.

Przyszło mi na myśl coś strasznego. Mierzyłem śmiało przechodniów wzrokiem.

Lekceważyłem tłum i w każdej chwili mógłbym stoczyć z nim walkę. Myśl kiełkująca w głowie była zorzą wśród moich cieniów życia. Palce kurczowo naklejają znaczki pocztowe. Urzędnik machinalnie odebrał dwie przesyłki polecone. Przeczytał adres odbiorcy i spojrzał na mnie. „Do Hitlera i Mussoliniego – dwie przesyłki polecone?” „Tak!” – odpowiedziałem. Nieprzeparte przekonanie, upiorne przeświadczenie, burza prawdy jęczały we mnie. Pokój całej ludzkości uratuję. Gdy Hitler i Mussolini przeczytają *Strzały*, które im teraz wysyłam, zaniechają wojny. Zrozumieją, jak marnym jest twór zwany człowiekiem. Zdania wyjęte ze *Strzałów* same tłoczyły się do głowy: „groza natury”, „przemoc nieświadomości...”, „bezwzględny seksualizm...”, „wszystko to, co dręczy ludzkość i niszczy”, „czymże jesteśmy wobec nałogów, tyraństwa pracy, nieświadomego kłamstwa – pajacami!”, „nie warto nam stawiać krwawych pomników na globie, który może być strzaskany”. Pocztylion spisywał, ważył, pieczętował. Jak dalecy byliśmy od siebie myślami. Po załatwieniu spraw związanych z nadaniem przesyłek ukłoniliśmy się sobie z dziwnym szacunkiem.

Już na schodach poczty uczułem pewien lęk spowodowany widmem prześladowania. Może mój naród, a później naród niemiecki będzie mnie prześladował za taki czyn. Może wycofać egzemplarze, dopóki jeszcze tutaj są. Zatrzymałem się jak Bruno przed palącym się stosem. Tchórzostwo, jakie chciało wszyć się w me jestestwo, spowodowało ironiczne wykrzywienie fizjonomii. Chodzi tu przecież o uratowanie pokoju. Wypada nawet zginąć w obronie pokoju.

Uspokojony tym przekonaniem znalazłem się przy bramie domu, w którym mieszkała „ona”. Ta, wkoło której moje myśli, które nie miały ogólnoludzkiego charakteru, krążyły jak satelity. Spotkaliśmy się. Podała kilka gazet, wskazując na nagłówki artykułów. Świadczyły one o powikłaniach politycznych. „Czuję – powiedziała mi – że wkrótce się rozejdziemy, a to przecież takie straszne”. Gazety nie brały pod uwagę naszych osób ani uczuć, snów ani marzeń. Rozrywały swoimi wiadomościami to, co było spojone, silne, bolesne. Ulica Warecka

kipiała. Kupowano gazmaski przeciwiwiperytowe, impregnowane kombinezony, szczelne bufety. Załadowane dorożki dudniły, trąbki aut sygnalizowały.

„Przepraszam cię – szepnąłem – na chwilę muszę odejść”. Po przeciwnej stronie ulicy szedł mój były prof. Szwejkowski z pełną ręką ksiąg. Rozgryzał prawdopodobnie jakiś problem naukowy. Uścisnęliśmy sobie dłonie, wzrok nasz zważył się i widział dalekie krainy. Tytuły gazet wyrwały go z cichego gabinetu, z ustronia myśli i wynalazku. Życzymy sobie przetrwania. Patrzymy w oczy. Postać naukowca zaczyna wzrastać w mej wyobraźni ponad wszystko, co się wkoło nas działo. Echo wygłoszonego referatu na temat *Wady kompozycyjne w komedii Fredry* na chwilę zjawily się w pamięci. „Widziałem Pana Strzały na wystawie – wtrącił profesor. – Życzę powodzenia”. Podaliśmy [sobie] ręce, rozeszliśmy się. Widziałem wśród tłumu uchodzącą postać i ginącą w ciżbie, może na wieki.

Wróciłem do „niej”. Było to najbanalniejsze. Każdy płynie do swojej. Parę uwag sentymentalnych. Parę słów o tęsknocie, o wierności. Na tym polegała ta symbioza duchowa, jednak silna jak życie, stała jak wszechświat. Sililiśmy się obecnie oboje na odpowiedź. Co robić? Czy pozostać w Warszawie, czy wyjechać? Nie znalazłem się w zasięgu mobilizacji.

Odpowiedź jednak była wkrótce. Ojciec z Prużany wzywał mnie telegraficznie do siebie chociaż na krótki czas – więc wyruszam. Opuszczam te mury, które są mą krwią i pulsem, duszą i życiem, fantazją i rozkoszą. Wiadukty mostu Poniatowskiego żegnały mnie dumne. Płaczliwa Wisła, z bulgotem omijająca filary, żegnała mnie na długie, długie lata. Gdybym nie trzymał całego jestestwa swego w dyscyplinie, rozpadłbym się w proch pokory i żalu, osypując mury mej stolicy. „Ona” mnie odprowadziła ul. Waszyngtona. Stanęliśmy oboje tuż przy parku Paderewskiego do budowy [?] barykady z kostki szosowej. Wał wzrastał.

Raptem na niebie ukazały się niemieckie samoloty. Czy warto wspominać lecące bomby i gwizdzące części strzaskanej budowli? Wojna zaczęła. Nienawiść człowieczeństwa dobiegła kresu. Pan ziemi ośmieszać się zaczął, wykazywać niedołężność w budowie pokoju. Wstydziłem się każdego zwierzęcia i śmiałem się ironicznie z dyskutujących w krąg uciekinierów. Nie pomogły *Strzały* – „spowodowały one raczej prawdziwe strzały”, powtarzałem z goryczą.

Osypani kurzem, wydostawszy się spod tych złomów, które przed chwilą były arcydziełami sztuki, szliśmy dalej. „Ona” mówiła mi, że jeśli mnie utraci, to utraci część siebie. Zwykle

miłosne gawędy. Szliśmy razem. Nieprzerwane sznury aut z Gdyni, Bydgoszczy, Poznania jechały na wschód. Ludzie szukali schronienia gdzieś tam, lecz żaden z nich dobrze nie wiedział gdzie. Uchodzili od kul. Upalne wrześniowe dni 1939 r. śmiały się i jaśniały. Wszyscy pragnęli pić. Wody w studniach zabrakło.

Zagniewany byłem na cały wszechświat. Drażnił mnie kurz, tłok, gorąc, męczyło pragnienie, niepokoiła „ona” – szczupła i wątła, idąca obok, wierząca w me bohaterstwo, dręczyła myśl o rozstaniu z Warszawą – miastem ludzi doskonałych. Poglądy pacyfistyczne bankrutowały, teorie budowane, teorie jedności i współżycia nie miały sensu. Nie było żadnego ministerstwa autorytatywnego. Żal ludzkości w moim sercu [dosięgał] zenitu. Twarz miałem skamieniałem i bladą, krok sztywny i automatyczny, kwestia życia lub śmierci [była mi] obojętna. „Za naszą wolność i waszą” – powtarzałem co pewien czas.

Dobrnęliśmy do Stoczka. Tu mówią o zaciągu ochotniczym do wojska. Okazało się wkrótce to nieprawdą. Dużo jeszcze mężczyzn nie wzięto do wojska, nawet tych, którzy mieli dobrą kategorię. W Stoczku złapano szpiega niemieckiego. Ranny leżał na wozie. Był zakryty i niewidoczny.

Huragan wzmaga się. Nacisk frontowy nasila się. Z oddali słychać huk armatni. Spotykamy rowerzystę sprzedającego rower. Za sto złotych – kupujemy. Dalsza podróż znośniejsza się staje. Szprychy lśnią w słońcu wrześniowym. „Fortuna kołem się toczy” – zażartowała „ona”, patrząc na lśniący nabytek.

Następnego dnia byliśmy już w Brześciu nad Bugiem – w przeddzień natarcia frontowego. Alarmy wstrzymywały ruch uliczny. Grupy żołnierzy stały w pogotowiu. Dudnienie armatnie wtórowało szumowi trwożnemu. W Prużanie ojca już nie było, miał być w Kosowie. Tu też zaznaczyło się rozprężenie. Grupy wojska z Białymi Orłami z najrozmaitszych pułków zjechały na rynek. Byli uciekinierzy obandażowani, wszyscy przygnębieni i smutni. Nowa broń, przed chwilą grzmiąca śmiercią, połyskiwała w słońcu. Z luf jeszcze się kurzyło. Wkoło czuć było prochem i benzyną. „Panowie – zapytałem twardo – czy wszystko tracimy, czy wojna przegrana?”. „Nie – odrzekł jeden ze starszych – na Polesiu w błotach Niemców potopimy. Obecnie na polach ogromna masa czołgów ciągnie, niepodobna zatrzymać. A tu dni są prześliczne. W błotach i trzęsawiskach obrona jest możliwa”. „Jakże krótki szaniec obronny” – pomyślałem.

Szpice czołgów niemieckich zbliżyły się do Prużany. Wyjechałem po ojca do Kosowa. Nieprzebyte lasy i moczary. Jedyna szosa przecinająca ten kraj była wciąż pod obstrzałami, poza tym cisza i gąszcz leśny – żadnego człowieka, prawdziwe odludzie. Domy puste, opuszczone świecą ścianami. Białorusini też uciekli na wschód.

Dobrnąłem nareszcie do Kosowa. Pustka i tu – dworzec rozbity, a obok świeże groby. Słońko zapadało na zachód. Szara powłoka przykrywała świat. Las, pustka, bezludzie i ślady bombardowań – to było wszystko i nic więcej. Serce odczuło grozę. Wtem na zakręcie zamajaczyła na horyzoncie człowiecza postać. Któż to może być? Zbliżaliśmy się do siebie z przerażeniem. W odległości 20 kroków poznałem swego ojca. Uścisnęliśmy się serdecznie. „Widzi ojciec, co się stało z naszą Rzeczpospolitą. Powiedz mi, ojcze, może to tylko sen?” Odpowiedzi nie było długo. Rozmawialiśmy do północy. Skuleni w osamotnionym gmachu wśród lasu drzemaliśmy.

Raptowny łoskot w okiennicę postawił nas na nogi. „Na pewno Niemcy” – zdecydowałem i mieliśmy przekonanie, że spotkamy się z sąsiadami naszej ojczyzny. Z sąsiadami niosącymi śmierć, zniszczenie i łańcuchy niewolnicze. „Kto tam?!” – wrzasnąłem. „Otwierać!” – rozległ się przeraźliwy krzyk. Był to polski kapitan zboczony krwią. Uległ wypadkowi, wioząc do Słonima ważne rozkazy, wpadł z motocyklem do rzeki, na której most został spalony. Był szczęśliwy, że trafił do nas. Mogliśmy zatelefonować – połączyć się ze Słonimem i czekać na auto. „Jest Pan ranny” – stwierdziłem. „Tak, zdruzgotałem nogi. Wojna jest złą macochą”. „A dlaczego ludzie wywołują wojny?” – wtrąciłem, patrząc przenikliwie w twarz kapitana. Czułem, że byłem zdolny obecnie ubliżyć każdemu, kto by stanął w obronie wojny. Uczułem to prawdopodobnie kapitan i zamilkł, a raczej jęczał z bólu. Jakże śmieszne są kanarki czubiące się w złotej klatce.

Noc przeszła, wróg nie przybył. Kapitan odjechał z dokumentami do [wyznaczonego] punktu. Ojciec wyruszył do córek, a ja pragnąłem skoczyć do kolegi mieszkającego tuż przy sowieckiej granicy. Było to 16 września. Z kolegą przywitaliśmy się równie serdecznie jak i z ojcem. Byliśmy do siebie zbliżeni duchowo. Po udzieleniu niezbędnych informacji o sobie siedzieliśmy milcząco. Niczego nie czułem, żadnego pragnienia nie miałem, nie było we mnie żadnej rozpacz ani bólu, była straszna głusza. Było naraz za dużo wrażeń. Opuścić: „ją”, stolicę, ojca i stracić trzy czwarte powierzchni ojczyzny – to wystarczyło na zamroczenie.

17 września, na drugi dzień po moim przyjeździe, rano zaalarmował mnie mój kolega strasznym głosem: „Spójrz, co się dzieje na wschodzie!!”. Ogromne wieże czołgowe sunęły ponad równiną. Bokami płynęła zielona piechota. W powietrzu warczały stalowe ptaki. Odgadliśmy natychmiast wszystko. Wojsko sowieckie szło spotykać Niemców. Nie wiedzieliśmy, jak ustosunkują się do nas i dlatego krew zamarła nam w żyłach. Machinalnie wsunęliśmy ręce do zanadrza, by sprawdzić swoje dokumenty. Kobiety padały na kolana. Trwoga zapanowała dookoła.

Wyciągnąłem z kieszeni świstek gazety. Oczy zatrzymały się przez pewien czas na literach. Żal ścisnął serce. „Precz z sentymentalizmem słowiańskim” – mruknąłem. Wycinek został porwany. Była to drukowana recenzja *Strzałów*. Stopniowo oddalałem się od świata mych marzeń, od idealizmu w obliczu zachodzących wypadków.

Bolszewicy wysypali się tyralierą na dwór. Staliśmy z kolegą nieruchomi w oczekiwaniu. Jeden żołnierz maszeruje wprost na nas. *Zdrastwujtie!* – zakrzyczał. – „Przyszli my was oswobodzić!” – krzyknął i podał rękę. Lody przysły, trwoga pierzchła.

Dostałem [posadę nauczyciela] w Pieszczańce – głuchej, zapadłej wsi, niedającej żadnej rozrywki, żadnych nienasuujących tematów, żadnych buntów i wzlotów. Dusza wołała o jeszcze. Nie chciała zaprzestać na *Strzałach*. Każda cząstka duszy wołała o tworzenie, o wymysł, o coś ciekawego. Dalsze przemiany polityczne grzmiąły ponad mną. Nikt mnie nie znał, nikt nie prześladował. Pragnąłem jedynie pokoju w świecie, buntowałem się na widok rozlewu krwi. Kłamiwe podsycanie nienawiści człowieka do człowieka czyniło coś wręcz przeciwnego do mego odczuwania. Radio donosiło o wszystkim. Radio – dwulicowy przyjaciel – służyło w owym czasie do rozgłaszania złośliwej propagandy. Do okłamywania, do wsączania nienawiści w serca – i walka trwała.

Stanęły do zapasów całe ogrody ludzkości. Dano w rękę najrozmaitszym elementom nowoczesną broń, sprawną i wysoce automatyczną. Śmierć kosiła ludzi na lądzie, na morzu, w powietrzu. Partyzanci rozprawiali się w nocy, a w dzień następował odwet. Żadna siła ludzka, żadna ich organizacja nie była zdolna powstrzymać szaleństwa. Byłem tylko [ja] sam w czterech ścianach i aparat radiowy przynoszący to, co było antytezą mego życia. Cierpieć tylko i przeżywać to za mało. Martwić się z powodu walk w Cyrenajce lub Narwiku, Finlandii – tego rodzaju materia nie zaważyła na szali dziejów ludzkości.

Zaczynam tworzyć, a raczej kontynuować to, co było zaczęte w Warszawie. Samo życie nasunęło temat. Treść należy podać w takiej formie, by była zrozumiała z łatwością przez umysł ludzki. Pisać, ilustrować i grać. Użyć te trzy rodzaje umiejętności, by jedynie przekonać jak najwięcej odbiorców [do] tego, że wojna jest rakiem ludzkości, że jest niską formą przeobrażania się rzeczy starych w nowe.

Postanowiłem ułożyć pieśń – tekst i melodię – używając do tego celu ośmiu butelek napełnionych do różnego poziomu wodą. Miałem w ten sposób osiem tonów gamy muzycznej. Można było już wydzwonić dowolne melodie, piękne lub brzydkie. Chodzi jednak o to, by były piękne, by je śpiewano i zapoznawano się z tekstem pieśni. Zostały wystukane dwie melodie i obleczone treścią. Treścią pacyfistyczną, w duchu miłości, człowieczeństwa i pokoju. Uczniowie w mej szkole ochoczo śpiewają. Powtarzają słowa pieśni, nucą melodię. Chcą żyć, chcą tworzyć i budować – wręcz przeciwnie, przeciwnie do tego, czego chcą siły sprzymierzone, niszczycielskie.

W 1940 r. zostały napisane dramat *Człowiek* i komedia *Wizyta*. Przewalały się w nich moje łkania i prośby, zaklinania i przekleństwa, ironiczny śmiech i żal. Dramat [został] wysłany na konkurs literacki do Mińska. Nie [otrzymałem] żadnego wyróżnienia, ale przyniosło mi to ulgę. Nadzieja unosiła mnie w krainę miłą, mniej krwawą, w krainę przyjaźni i porozumienia. W locie swym zbliżyłem się do tej krainy, z której [tytuły] gazet [wyrwały] prof. Szwejkowskiego.

Ażeby przemówić do całej ludzkości, [nie wystarczy] przekonywać kogoś mową niezrozumiałą lub kogoś [sic!]. Każdy jednak, widząc narysowaną karykaturę człowieka, powie, że jest to narysowany człowiek. Więc tak jak radio służy wszystkim i przy pewnej reorganizacji słuchowisk służyć może ludzkości w sprawie ustalenia pokoju, tak karykatury mogą służyć wszystkim, różnorodnym ludziom też w sprawie ustalenia pokoju. Zacząłem ilustrować treść wyrwaną z serca zranionego. Młodzieńcze oczy uczniów wpatrują się – podziwiają i zrażają się karykaturami przedstawiającymi to, co człowiek robi od 1939 r. Ohyda, paskudna i wstrętna, jest utrwalona na papierze. Wiele było karykatur poobserwacyjnych, prawdziwych. Odwracali się często uczniowie od tych rysunków z poczuciem niesmaku i prosili o śpiew. Treści pieśni nie miały zabarwienia walk zwierzęcych, tylko [przedstawiały] walkę duchową, intelektualną, a na tle obrzydliwych karykatur w swej treści pieśń była dla nich tak czysta i piękna, jak piękna wydaje się dusza znajdująca się nie

w ciele. W takim zaczarowanym środowisku żyłem z uczniami. Oni bili mi brawo za każdą ułożoną pieśń. Próbowali potępić i skrytykować treść życia człowieka XX w.

Zbliżył się czerwiec 1941 r. Wczesny ranek, wszyscy śpią. Pojedynczy silny huk postawił wszystkich na nogi. I znowu spokój, więc wszyscy śpią dalej, nie przeczuwając tego, co się stało. O godz. 10.00 przemawia towarzysz Mołotow i oświadcza całemu światu, że [Sowieci] przystępują do obrony, będąc napadniętymi przez Niemców. Hitler, wódz partii, uderzył na Związek Radziecki.

Wypadki potoczyły się szybko – tak szybko, jak szybko toczyły się czołgi. Brześć... Bereza... Baranowicze... Białystok. Stalowe ptaki ścierały się w błękicie nieba. Co chwila jeden z nich padał ku dołowi w szatańskim korkociągu. Piloci wyskakiwali z postrzelonych maszyn, ale w locie byli zastrzeleni przez przeciwnika. Niech im ziemia lekką będzie.

Na drugi dzień przybyli Niemcy. Zajechali dużym niebieskim autem. Ubrani byli też w niebieskie mundury. Każdy z nas pragnął czym prędzej zobaczyć tych zdobywców niemal całej Europy. Wszyscy Niemcy byli porządnie podstrzyżeni, o zaroście nie było mowy.

Gdy przywitałem się z pierwszym Niemcem, wyraziłem mu swój szczerzy podziw dla tego wszystkiego, co zrobili. Gdy skończyłem, przybysz natychmiast zapytał o jajka i bez pardonu oświadczył swemu koledze przy mnie, że jestem księdzem. „Nie, jestem tylko nauczycielem” – odrzekłem. Oni jednak się śmiali. Zaszli do sąsiedniej chaty, rozgościli się swobodnie, a o tym, który niedawno wygłosił tyle podziwu dla ich sztuki wojennej, tzn. o mnie, jakby nic nie wiedzieli. Zabolało mnie to do żywego – to lekceważenie ludzi wschodnich. *Übermensch* stanął mi hardo w pojęciu Nietzschego, podparty na łokciu. Ich wychowawca zamajaczył w mej świadomości. Lekceważenia się nie zapomina.

Nastąpiło szybkie wiązanie przez Niemców sieci administracyjnej. Sołtysi, agronomi, wójtowie tworzyli spoiwa tej sieci, którą ciągnęła ręka niemiecka, wyławiając wszystko to, co miało wzmocnić ich położenie międzynarodowe, a wytępić to, co je [osłabiało]. Sieć zagarniała przede wszystkim wszystkie zasoby gospodarcze i siły robocze.

Po kilku miesiącach zaczęto już wyłapywać partyzantów. Ci jednak mnożyli się gwałtownie, paraliżowali zamierzenia okupanta. Zrywali i palili mosty, tory kolejowe, rozpędzali ludzi pracujących na wałach obronnych, lotniskach zajętych przez wroga. Sabotaż był karany

śmiercią. Zakładnicy odpowiadali za cudze winy. Wsie płonęły [wskutek działań] obu stron. Śmierć była panią. Dzieci poznawały czyny starszych, nie rozumiejąc związków przyczynowych. Mówiły jedynie naśladująco: „wojna, wojna”. Pewien rys nieufności do starszych krzewił się w ich sercach. Głos ten nie był dla nich zrozumiały.

Któż mógł słyszeć rozpaczliwy mój głos głuchojący wśród czterech ścian szkoły. Wszystko to, co sobie wyimaginowałem, było w sprzeczności z rzeczywistością. Było w sprzeczności nawet ze zwykłym, ludzkim humanitaryzmem. Padałem na sofkę bezwładny, drętwy, złamany. Siła mej woli, fantazja i pewność siebie wsiąkały w masę, w której nie było żadnego punktu oparcia. Nic godnego uwagi nie mogło powstać w moim natchnieniu. To poniżenie się ludzkości, te zabryzgane po łokcie ręce odbierały mi wiarę w piękno, łamały utrwalone dogmaty. Usta wykrzywione w łuk nadawały obliczu wyraz skrajnego pesymizmu.

Jęczałem wraz z rannymi na polach Charkowa i w Cyrenajce. Koszmarny bezcelowości życia prześladowały mnie w nocy. Po tysiąc razy chciałem umrzeć. Pragnąłem spotkać się z oddziałem partyzantów, którzy by starli mnie w proch. Konfidentem być nie mogłem, bo popełniłbym samobójstwo, mając tej budowy psychikę. Zapisując się do partyzantów, skazałbym na śmierć całe pokrewieństwo. Więc tak [w przypadku] zasad życiowych, jak i politycznych odczułem miękkość gruntu, bagno pod nogami. Zacząłem się chwiać moralnie i czułem, że wraz z chwilami pohańbienia dostojności człowieka przyszły chwile, w których muszę się wykoleić.

Walczę – pomaga mi talent. Nabieram większej wprawy w wykonywaniu karykatur. Trzy karykatury dziennie wiążące się treścią w pewną całość. Muzyka odrywa skołataną psychę i unosi ją w inny kraj, w kraj błękitu i swobody, w mój kraj pierwotny, przedwojenny. Ułożyłem 22 melodie, oblekając nimi treść. Powstała w ten sposób operetka *Sztuka* jako oswobodzicielka duszy od czarnych oków rozpacz. Fragmenty jej śpiewały dzieci i śpiewali starsi. Chłopi ze wsi Zdzitowo – Polacy kochający ojczyznę, chociaż nieumiejący mówić po polsku – zaprosili mnie do siebie na wieczornicę. Znałem ich sentyment narodowy. Gdy byliśmy zgromadzeni za stołem, zaśpiewałem im następującą pieśń, wyjętą z tej operetki:

Melodia 24.

[zapis nutowy]

1. Witamy cię, zwycięzco
Kochany wodzu nasz
Przez [?] krew przelaną braci [?]
Zalaną łzami twarz
Przez [?] sine [?] ślady katów
Policzki twarde ręk [?]
Przyjmijże wianek z kwiatów
Urywanych z polskich łąk
Ty [nieczytelne] mężów silnych
Kochany wodzu nasz

Ref.: Nie chcemy cudzych ziem
Nie chcemy cudzej krwi
Od naszej pierzchnie wróg
Dopóki jesteś ty

2. Rozbity wróg odwieczny
Pokornie klęczy tuż
Za łzy sieroty biednej
Za tyle strasznych burz
Za gruzy domów ludzkich
Nadeszły ciężkie dni
A miecz szatański wroga
We własnej piersi tkwi
I dumie rozkiełzanej
Zabrakło w końcu krwi

Ref.: Nie chcemy cudzych ziem
Nie chcemy cudzej krwi
Od naszej pierzchnie wróg
Dopóki jesteś ty

3. Dopóki jeszcze cienie
Tuliły naszą myśl
Dopóty wróg cierpienia
Zadawał wielu z nas
Lecz teraz już zrozumiał
Że wolny niegdyś lud
Sto razy woli umrzeć
Niż cierpieć wieczny głód
Wolności nieskalanej –
Całować pański próg

Ref.: Nie chcemy...

Łzy, jakie zrosiły ich oczy, były zapłatą za ten nikły wysiłek duchowy. Czułem, że w sercach ich coś się poruszyło. Inspektor szkolny, który przybył również na tę gościnę, obawiał się – a może kto doniesie gestapowcom o tej piosence. Wówczas śmierć niechybna. Spisywano słowa i nucono melodię pieśni. Śpiewałem osobiście tym Polakom, którzy jedną nogą byli po stronie wroga. Długo patrzyliśmy sobie w oczy w milczeniu. Nikt o tym nie chciał zawiadamiać gestapo. Oglądano karykatury, podziwiano i koniec.

W żadnym wypadku te posunięcia nie mogły uspokoić mojej wewnętrzni. Traciłem nadal piękne zasady, poczucie wstydu zanikało. Brak poszanowania wartości człowieka w świecie w dalszym ciągu czyniło mnie inwalidą moralnym. Brak okazji do prawdziwego artystycznego wyżycia się, głucha wieś otoczona grasującym krwiożerczym elementem, skrępowanie i umiejscowienie zabijało to, co miało jeszcze wartość. Walka wewnętrzna nabierała [charakteru] chronicznego.

Zbliża się straszny rok 1943, rok rozrachunku. Intrygi sąsiedzkie, porachunki osobiste nabrały wielkiego rozmachu. Ojciec nie wierzył synowi, mąż żonie. Odpowiadał brat za brata, ojciec za syna, chociaż nic nie wiedzieli o swych poczynaniach. Ratując nieraz swe życie, wydawali w ręce oprawców dziesięć osób niewinnych, ażeby siebie ratować. Była nagonka na człowieka. Wykoleiłem się. Mówiłem więcej, niż należało. Robiłem, nie mając poczucia odpowiedzialności.

Ożeniłem się, wkrótce zostałem wywieziony do Niemiec wraz z „nią”. Zmiana klimatu, otoczenia, inni ludzie – otrzeźwiło to mnie chwilowo, no i zmiana warunków pracy. Wówczas cenili tylko mą siłę pociągową. Nie odczuwałem żadnego, żadnego buntu, żadnej rozpacz.

Wegetatywny okres duszy. Nie było mnie i nikt nie słyszał o tym, kogo nie było. Ofiara wojny – cicho złamana rozpaczą. Nie żałowałem siebie, leżąc w mieszkaniu podobnym do chlewa ani wówczas, gdy ręce puchły od pracy. Idąc z pola, zasugerowany męką przecież myślałem o karykaturach. Kleiły się wątki opowiadania rysunkowego spojone cierpieniem. W Stralsundzie miałem ich już sto.

Niemcom prawdopodobnie się nie podobałem. W ciągu sześciu miesięcy musieliśmy zmienić trzykrotnie miejsce [pobytu]. Nie podobały się im prawdopodobnie moje oczy nieruchome, przeszywające ich duszę. Milczałem, lecz milczenie to było wściekłością. Nie słyszałem tego, co by oni chcieli, abym słyszał, a wiedziałem o tym, co pragnęli ukryć. Najnowsze wiadomości prasowe wśród Polaków krążyły żywym ogniem. Wielu z nas słuchało radia i wiedziało, jak właściwie sprawa wojny wygląda.

Doczekaliśmy się zamknięcia [w areszcie]. Wachman, prowadząc nas do stralsundzkiego więzienia, cieszył się, że jeszcze dwóch Polaków mniej będzie na świecie. Byliśmy pod kluczem cały miesiąc. To życie znane wielu rodakom. Głód i chłód, bicie i poniżenie. Wśród nas wielu było Francuzów i tu łączył nas wspólny los. Pastwienie się człowieka nad człowiekiem, zabicie indywidualności jednostki, wybijanie zębów i na zeznaniach wieszanie na pół minuty jest czymś tak wstrętnym, że myśl jak z kłębowiska robaków ucieka od tych przeżytych chwil.

Spotkaliśmy się z żoną po miesiącu [pobytu] w gestapo na zeznaniu. Odprowadzono nas znowu do biura pracy. Kierownik tego biura znał już naszą twardość i gdy ujrzał nas, jak wychodzimy z więzienia żywi, zakrzyknął: „Sabotażyści!”. „Nie – odpowiedziałem – tylko żona moja jest w ciąży i nie może ciężko pracować”. „Zastrzelić ją trzeba!” – wykrzyknął, a ja myślałem o Witebsku, dokąd front się zbliżył serdeczny.

„Za karę” wysłani [zostaliśmy] do Nadrenii, gdzie bije serce niemieckiego przemysłu. Wieźli nas na sprzedaż do Wuppertalu, Dortmundu. Tu nas spotkały eskadry żelaznych ptaków angielskich. Bomby sypiące się góry kruszyły domy, skręcały żelaza, paliły nawet farbę olejną na murze. Nie mogły tylko skruszyć mego człowieczego bólu.

Urodziło nam się dziecko. Był właśnie nalot. Dookoła grzmiało, szatany chichotały, okna się wysypały. Zemdlona [żona] leżała w piwnicy. Ja z niemowlęciem przez zasypane korytarze przedzierałem się do [jego] nieprzytomnej matki. Nieubłagane samoloty sypały różnego rozmiaru bomby na nasze głowy, na nasze serca. O, to także jest wszystkim znane.

Schowane karykatury w zanadrzu, dziecko na lewej ręce i zemdlona żona na prawej – to obrazek rodzinny z XX w., w którym sztuka i rodzina zostały podeptane.

Nie było skargi, był pot, nie było hysterii, było natchnienie, nie było płaczu, były tylko łzy. Pan świata [żył] sposobem krecim, w piwnicy. Czy czuł kto pustkę w duszy, bezdeń, ohydne śmietnisko? Jeżeli czuł, to jest moim przyjacielem. Świat należący do istot niedorozwiniętych, a przez to zarozumiałych, nadmiernie ambitnych, mających zdolność do przyzwyczajania się, do nawyków, przez swą słabość nie może oddalić się od przeciętności. Stworzyliśmy piekło na świecie.

Takie myśli [mnie] nurtowały, [kłębiły się] w mej głowie, gdy siedziałem w piwnicy. W duszy mej zrodził się jad zatruwający normalne współżycie z ludźmi. Po raz setny straciłem wiarę w człowieka. W człowieka, który obecnie żyje. To pokolenie, które ma w centrum swej świadomości nienawiść, odwet, zemstę, nienawiść narodowościową, językową, religijną i plemienną prócz wojny nic nowego zdziałać nie może. Lecz to nowe pokolenie, które w centrum swych pojęć postawi człowieka – człowieka z jego bólem i ułomnością, z jego wewnętrznym nieszczęściem, z jego upośledzeniem i śmiertelnością, gdy przez współczucie zrodzi się miłość, wówczas to pokolenie przyniesie nam jedność i zgodę.

Padłem na kolana. Widziałem tych młodzieńców nieznających naszych spraw i otworzyłem do nich ramiona. Mówiono w schronie, że zwariowałem, a ja rozmawiałem z nimi. Narysowałem im jeszcze 500 karykatur, byłem ich duszą, a oni moją i w hipnozie nadchodzącej miłości doczekałem się 9 maja 1945 r. Rozgromieni – znowu cierpieli, zwycięzcy – po cierpieniu cieszyli się. Kiedyż będziemy cieszyć się wszyscy?

Koniec